

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDŁA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 10 PAŹDZIERNIKA 1915

NR. 11.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Ułan i dziewczyna.

Fot. Jeleniewski.

ANNA SŁONCZYŃSKA: ŚWIĘTO PRZEMIENIENIA.

(Utwór poetycki nagrodzony na konkursie Polskiego Tygodnika Ilustrowanego).

WOLNOŚCI, NOCY NARODOWYCH ZORZO!
WIARO, PRZEZ KTÓRA W CZYN WCIĘŁA SIĘ SŁOWO,
PRAW PRZYRODZONYCH MAJĄCA MOC BOŻA
GODNOŚCI LUDZKIEJ — KRÓLOWO!

WOLNOŚCI! KTO CIĘ POSIADA, W ŚWIT PATRZY
I PRZYSZŁOŚĆ WITA OD PROGĘ, JAK DRUHA,
BO JEST OD WSZYSTKICH MOCARZY BOGATSZY,
GDY TY Z NIM MIESZKASZ — OTUCHA!

LECZ KTO CIĘ STRACIŁ W ŻYCIOWEJ ROZTERCE
KTO — NĘDZARZ — OBCYM TWYCH DARÓW ZAZDROŚCI,
TEMUŚ JEST ŻADZA, CO WŻARŁA SIĘ W SERCE,
BO WIE, ŻEŚ WSZYSTKIEM, WOLNOŚCI!

BYŁ NARÓD, KTÓRY W STULETNIJ KATUSZY
ŻYŁ JENO STYPA POGRZEBNĄ NA GROBIE —
MOGIŁOM ODDAŁ NAJLEPSZĄ CZĘŚĆ DUSZY
I JAK SAKRAMENT SWA PRZESZŁOŚĆ NIÓSŁ — W SOBIE!

BYŁ NARÓD — BÓLU ZGRZYT W HARFIE NARODÓW,
A NIE SZŁO ZA NIM WSPÓŁCZUCIE NICZYJE,
GDY OD DZIEJOWYCH ODTRĄCONY GODÓW,
LI — TYLKO MEKĄ ZNAĆ DAWAŁ, ŻE ŻYJE!

BYŁ NARÓD W ŁAŃCUCH OKUTY, JAK JENIEC,
ZNAJĄCY WSZYSTKIE CIERPIENIA Z KOLEI —
NARÓD, CO W PIEKLE BOLEŚCI — SZALENIEC! —
NIE PISAŁ JESZCZE: „TU NIEMA NADZIEI”.

— NIESZCZĘŚCIE WLEKŁO SIĘ DŁUGIE, JAK WIECZ-
I PRÓŻNO DRUHY SZEPTAŁY: „ZAPOMNI!” JNOŚĆ...
I PRÓŻNO SZATAN MU SZEPTAŁ: „KONIECZNOŚĆ” —
ON, JAK RYCERZE BYŁ — W BÓLU NIEZŁOMNI!

Z GMACHU PRAOJCÓW WYGNANY ZA WROTA,
JAK UPIÓR — KIEDY POWRACA NA CMENTARZ —
CZUŁ, ŻE MU W PIERSI PRZESZŁOŚCI TĘSKNOTA
GRA NIEŚMIERTELNA POBUDKA: „PAMIĘTASZ”

PAMIĘTAŁ... W SERCE MU Z BÓLEM SIĘ WŻARŁA
MIŁOŚĆ, CO IMIĘ NAJDROŻSZE — KRWIĄ RYJĘ,
A GDY RZEKŁ O NIEJ W SWYM DUCHU: „UMARŁA”,
EHEM W ŚLAD ZATEM POWTARZAŁ: „OŻYJE!”

JUŻ! ZALI SŁYSZYSZ? JUŻ W RÓG SWÓJ UDERZA
„CHWIŁA” I WSZYSTKO, CO BYŁO — W PROCH STRĄCA!
I UCZY LUDZKOŚĆ WOLNOŚCI PACIERZA —
SŁYSZYSZ? TO BIJE W ŚWIAT: „CHWIŁA BIEŻĄCA”

ACH, WSZYSTKIE, WSZYSTKIE ROZERWIE KAJDANY,
ŻELAZNE ZDEJMIE Z OKUTYCH NÓG PĘTA,
UDERZY GROMEM ODRODZIN W KURHANY
I — BĘDZIE MODLIŁ SIĘ DO NIEJ LUD: „ŚWIĘTA”.

WIĘC — ŻE ZWAŁONA PRZEŻYTYCH PRAW WŁADZA,
ŻE SPRAWIEDLIWOŚĆ ZDOBYWA KRWIĄ SZANIEC,
ŻE CHAOS PRZEMIAN TWARZ ŚWIATA ODRADZA —
KIEDY: Z UST ZDARTY MILCZENIA KAGANIEC:

NARÓD W NIEZGASŁYCH NADZIEI KORONIE
ZA SZTANDAR CHWYCIŁ, JAK WOLNE NARODY
I RZUCIŁ SŁOWO, CO W DUSZY MU PŁONIE —
POLSKA!...

SZLIŚMY DO CIEBIE Z EGIPSKIEJ NIEWOLI
PRZEZ KAMIENISTYCH PRZEPAŚCI KRAJ NAGI,
A ŻYCIE SIŁE NAM KRADŁO POWOLI,
BO NIE OSZCZĘDZIŁ NAM LOS — ŻADNEJ PLAGI!

I PRZEZ CZERWONE OJCZYSTEJ KRWI MORZE
SZLIŚMY, JAK ONGI IZRAELA RZESZA,
A GDY NAS ZWATPIEŃ SPOTKAŁO ROZDROŻE
NIE DAŁ NAM PAN BÓG DRUGIEGO MOJŻESZA!

O ZIEMIO NASZA! O NIEOBIECANA
PRZEZ ŻADNE BOGI NA ŻADNEJ KSIĄG KARCIE —
GDYŚMY SZUKALI CIĘ, JAKO LUD PANA —
TY UCIEKAŁAŚ PRZED NAMI UPARCIE!

A PRZY MAJOWEJ BIESIADY OGNISKU,
KIEDY ŁAMANO MIŁOŚCI CHLEB BRATNI,
BY STANY W JEDNYM POŁĄCZYĆ UŚCISKU —
BYŁ TO SAKRAMENT WIECZERZY OSTATNIEJ!

LOS NIEJEDNEGO NAM ZDARZYŁ JUDASZA
W GRONIE PRZYJACIOŁ, WŚRÓD CIĘŻKICH STULECI —
GDY KIELICH MĘKI PODNIOŚŁA DŁOŃ NASZA,
BÓG NIE ZARĘCZYŁ, ŻE BĘDZIE — DZIEŃ TRZECI!

LECZ MY — DUCHAMI NAZYWANI ZŁYMI —
IŻ NASZA CNOTE WRÓG MIENIŁ REBELIĄ...
W WYTRWANIU SZLIŚMY, JAK WIERNI PIELGRZYMI,
BO TY NAM, ZIEMIO, BYŁAŚ — EWANGELIA!

SZLIŚMY DO CIEBIE POCHODEM POKOLEŃ,
— DZIEDZICE CHWAŁY ZAMKNIĘTEJ W POPIOŁACH —
CZASEM BŁYSKAŁY NAM TĘCZE WYZWOLEŃ
I ZNOWU GASŁY, JAK GWIAZDY NA CZOŁACH!

SZLIŚMY DO CIEBIE PRZEZ TYSIĄC UPADKÓW
I TYSIĄC POWSTAŃ NA DRODZE WOLNOŚCI —
I PRZEZ POTOMNOŚĆ WEZWANE NA ŚWIADKÓW
BĘDA NAM ŚWIADCZYĆ — BOHATERÓW KOŚCI!

SZLIŚMY: KAPŁANI Z PIECZĘCIĄ NA USTACH,
MEŻE BEZ ZBROI, BEZ GŁOSU LIRNICY —
KOBIEТЫ W CZARNYCH, POGRZEBOWYCH CHUSTACH
I DROBNE DZIECI — MALI MĘCZENNICY...

A WSZYSCY OCZY MIELI WYPŁAKANE,
A WSZYSCY ZNALI BÓL GORZKICH OMAMIEN,
A KAŻDY W PIERSI JAKAŚ NOSIŁ RANĘ,
A KAŻDY SERCE MIAŁ CIĘŻKIE, JAK KAMIEŃ!

SZLIŚMY DO CIEBIE PRZEZ LASY ZASADZEK —
— NIEPRZYJACIELSKIEJ KRAINY WĘDROWCE —,
NARADY NASZE, W ZBÓJECKICH ŚLAD SCHADZEK
PRZED OKIEM SŁOŃCA SIĘ KRYŁY — W GROBOWCE!

LECZ NARÓD PRZETRWAŁ BÓL BÓLÓW — W ZASŁU-
IDZIE!..
CHOĆ DROGA NASZA KRZYŻ MIAŁA ZA GODŁO —
ŻADNE NAM BOGI NIE ŚWIECIŁY CUDZE
JENO TWE IMIE, JAK SZTANDAR, NAS WIODŁO!

SZLIŚMY DO CIEBIE... AŻ KU NAM TY OTO
IDZIESZ NAPRZECIW, TY — ŚWIĘTA, TY — NASZA!
KRWIA WYSŁUŻONA, POKOLEŃ TĘSKNOTA —
CZEKANĄ W MĘCE, JAK PRZYJŚCE MESJASZA!

IMIE TWE W BLASKU NIECH LUDZKOŚĆ PRZECZYTA,
BOŚ TY POWSTAŁA KRÓLEWSKA NA GODACH —
W PROCHU POKUTNYM Z WIN DAWNYCH OBMITY,
W FALI LETEJSKIEJ WYKAPANA WODACH!

NIECHAJ ŚWIAT WIDZI, ŻEŚ NIE TA — NA TARGU
SPRZEDANA, CARÓW NIEWOLNICA MARNA,
ANI TA CHORA, CO WSTAJE Z LETARGU,
LECZ PRZEMIENIONA, MOCARNA!

IDZIESZ W POWADZE, W ŚWIATŁOŚCI, W HONORZE —
...WŚRÓD LUDU ZERWAŁ SIE KRZYK: NA KOLANA!
OTO NA ŚWIĘTEJ PRZEMIANY TABORZE
POLSKA!

SALZBURG, 1915 r.

IDZIESZ!... MY SERCEM ŁOWIMY TWE KROKI,
ODDECH TWÓJ KU NAM Z PRZYSZŁOŚCI PÓL WIEJE —
WZROKIEM PRZEBIJESZ ZNIECHĘCEN POMROKI,
PRZEZ SŁOWO TWÓRCZE W KSZTAŁT WCIELISZ — NA-
IDZIEJE!

PRZED TWOJĄ SIŁĄ, JAK BÓG GROMOWŁADNA,
KTÓRA W TWEM ŁONIE TRWA DZISIAJ JAK ONGI —
NIECHAJ SIĘ SKRUSZA I NA TWARZ UPADNA
SYNY TWE — BÓLU KAMIENNE POSAĞI!

IDZIESZ! PRZED TOBĄ ZWALONE BOŻYSZCZA,
U BRZEGU FALI ZERWANE MÓRZ ŁAMY —
PRZED TOBĄ GRUZY PRZESZŁOŚCI, PROCH, ZGLISZCZA
I MY PRZED TOBĄ — CZEKAMY!

IDZIESZ! NA CHWAŁY WIDNOKRĘGACH NOWYCH
TWARZ CI ZAKWITŁA RUMIEŃCA KORALEM —
AVE! ŚWIECĄCA W PIEŚNIACH NARODOWYCH
APOKALIPSY NASZEJ — JERUZALEM!

NASZ KONKURS.

Sąd konkursowy, w którego skład, wedle zapowiedzi w piśmie naszym weszli WPP.: Tadeusz Żuk Skarszewski, Maciej Szukiewicz i nasz redaktor nac. Dr Lucyan Rydel, na posiedzeniu odbytem w dniu 28. września b. r., uznał za najlepszy i zakwalifikował do nagrody utwór poetycki pod godłem: „Patria“, który powyżej zamieszczamy. Po otwarciu koperty z nazwiskiem okazało się, że autorką nagrodzonego utworu jest Pani Anna Słonczyńska, zamieszkała w Salzburgu, jej też przyznano:

nagrodę koron 100.—

Na wzmiankę zaszczytną zasłużyły utwory oznaczone godłami „Cierń“ i „Jutrzenka“. Autorem utworu pierwszego jest pan J. Folla, drugiego zaś pani Marya Przedborska.

Ogłoszony kilka tygodni temu konkurs z wyraźnym zaznaczeniem, że idzie o utwór poetycki liryczny, albo

epiczny, w rozmiarach 140 wierszy mniejwięcej, przyniósł 46 prac, ale rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom naszym. Sąd konkursowy po najsumienniejszym zbadaniu nadesłanego materiału, przyszedł do wniosku, że żadna właściwie praca nie stoi na odpowiednim poziomie, że żadna nie dorosła chwili dziejowej. Widocznie nie wydały boje nasze, współczesne, dotąd swego piewcy. Niektóre z prac poddanych roztrząsaniom, posiadały formę dramatyczną, lub rozmiary zbyt wielkie i z tego nawet powodu nie mogły być brane w rachubę. Wreszcie niektórzy autorowie, widocznie nie obcy z metodą obsyłania konkursów, podpisali swe utwory. Nie wchodząc w ich wartość, prace te odsunięto ze względów formalnych. W miarę dalszej — już czysto redaktorskiej — oceny, będziemy niektóre z nadesłanych, a nie nagrodzonych, ni odznaczonych utworów drukowali i porozumiemy się w swoim czasie z autorami, których nazwisk na razie nie ujawniamy.



TADEUSZ PAWLIKOWSKI.

Przedwcześnie, bo w wieku, w którym inni zdobyte już doświadczenie łączą z niezużytymi jeszcze siłami — swoje siły stargał i w cień grobu zstąpił Tadeusz Pawlikowski, postać na dwóch naszych scenach zasłużona wielce i chlubnie pamiętna, w dziejach polskiego teatru naprawdę znacząca.

Z natury już posiadał umysł otwarty i bystry, silnie refleksyjny, wyposażony niezwykłą wrażliwością na piękno; przytem wyobraźnię miał żywą, lotną i bogatą, u-sposobienie fantastyczne i nerwowe: słowem — organizacja nawskróś artystyczna z pewną jednak przewagą pierwiastka intelektualnego nad uczuciowym. Syn właściciela słynnych Medyceich zbiorów i drogocennej biblioteki, wychowany wśród najwyższej kultury umysłowej, kształcony starannie i wielostronnie, miłośnik literatury i sztuki, a w dodatku jeszcze wybitnie muzykalny miał już za młodu wszystkie najpiękniejsze warunki na wymarzonego dyrektora teatru.

W dziedzinie teatralnej dał się poznać po powrocie z zagranicy znakomitemi recenzjami, które go postawiły w rzędzie najlepszych w Polsce zna-

wców sztuki scenicznej. Toteż nie dziw, że gdy miasto w r. 1893 zbudowało nowy gmach „Narodowej sztuce“, Pawlikowski nie tylko w oczach miejskich czynników rozstrzygających, ale także w oczach całej inteligentnej opinii publicznej, stanął jako najświetniejszy kandydat na dyrektora teatru.

Rzeczywiście nie zawiódł on oczekiwań. Za jego rządów podniosła się scena do tego poziomu, na jakim postawili ją byli Skorupka i Koźmian, ale zarazem ożywiła się technieniem nowej sztuki. W pojęciach bowiem o teatrze i teatralnej umiejętności zaszła była ogromna przemiana w Europie i nowy dyrektor miał przed sobą zgoła odmienne zadania, jak wielcy jego poprzednicy.

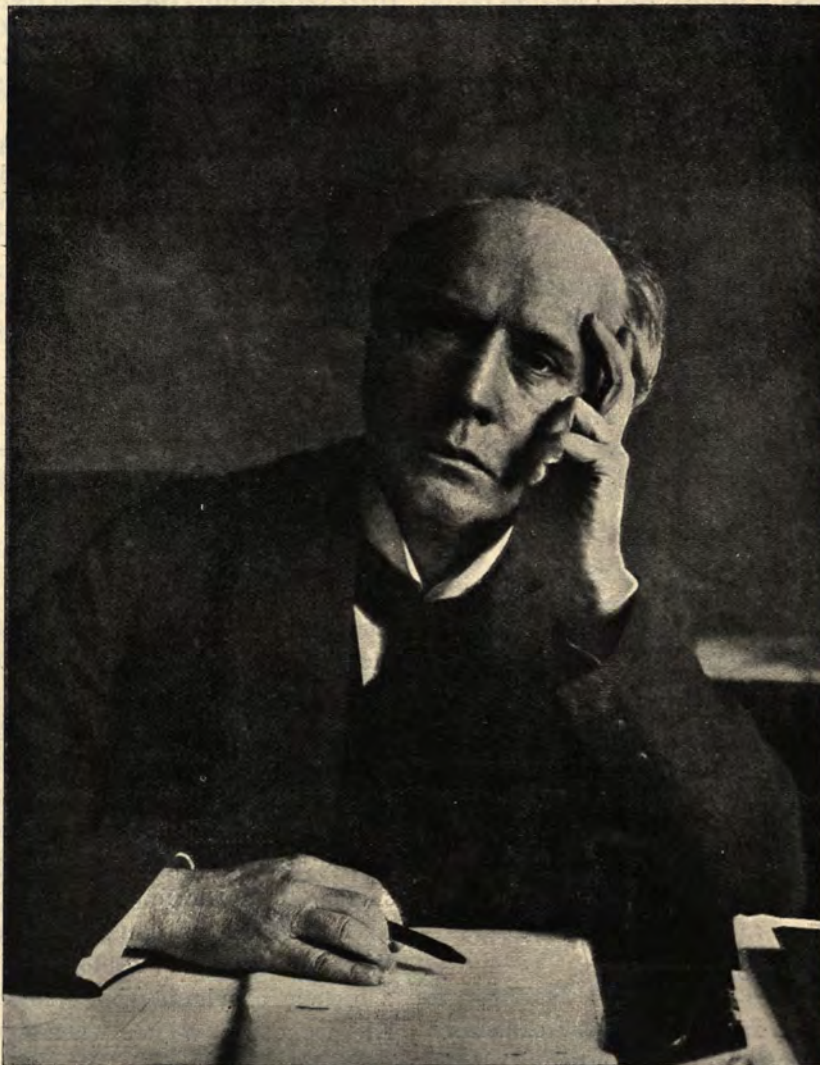
W drugiej połowie XIX w. zaznacza się na zachodzie rozwój badań historycznych, prowadzonych nowoczesną

krytyczną metodą z uwzględnieniem tła kulturalno-oby-czajowego i społecznego; równocześnie historia sztuki, cywilizacji, archeologia — nauki młode na ówczas, dochodzą do znaczenia i rozkwitu; pozytywizm filozoficzny w dziedzinie literatury i sztuki wydaje estetyczną doktrynę Hipolita Taine'a, na polu zaś twórczem kry-stalizuje się w teorii naturalizmu literackiego.

Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na teatr. W sztuce scenicznej — o ile chodzi o dramat współczesny — uwydatnia się dążenie do realizmu w teatrze Ibsenowskim tego okresu (*Nora*, *Upiory*, *Wróg Ludu*); we Francji doprowadza ono do najskrajniejszego naturalizmu teatralnego w sztukach Goncourtów.

W zastosowaniu do teatru historycznego, realizm sceniczny korzysta z niebywałą przedtem drobiazgowością ze zdobyczy dokonanych na polu historii sztuki, archeologii, historii cywilizacji — a najwyższym typem tego kierunku i nie-doścignionym jego wzorem, staje się teatr Meiningerów. Odtworzyć na scenie rzeczywistość do najdrobniejszych szczegółów, i to współczesną rzeczywistość zarówno jak

historyczną — oto hasło i postulat owej epoki. Przeciw realizmowi, naturalizmowi czy weryzmowi — bo to właściwie tylko stopnie i odcienia tego samego pojęcia estetycznego — rodzi się reakcja w sztuce i literaturze: Wagner, Böcklin, symbolizm francuskich poetów. W różnych dziedzinach sztuki powstają różne prądy, z różnych wychodzące założeń estetycznych, więc pomiędzy sobą rozbieżne, ale mające tę wspólną cechę, że wszystkie razem i każdy z osobna zwalczają realizm: rzeczywistość nie jest już najwyższym prawem i celem sztuki, prawda inaczej ma się objawiać w życiu a inaczej wyrażać w sztuce. Więc jakże ma cel mieć sztuka? Jak się w niej wyrażać ma prawda? Wobec tych pytań nowe kierunki nie mogą dać odpowiedzi zgodnej. Każdy wysnuwa inną zasadę estetyczną.



Twórczość dramatyczna na schyłku XIX w. zrywa także z naturalizmem i odzwierciedla w sobie wszystkie te rozbieżne hasła czasu. Na Ibsenie można zwrot w pojęciach najlepiej ukazać: od realizmu przerzuca się on ku symbolizmowi (*Borckmann, Solness, Mały Eyolf, Gdy zmartwychwstaniemy*); podobnie Hauptmann od *Tkaczy* — do *Hanusi*. Typowymi objawami owych prądów są dzieła sceniczne Maeterlinka, d'Anunzia, a u nas Wyspiańskiego. — Rzecz jasna, że teatr Skorupki a po nim Koźmiana, przewyborny, gdy wystawiał klasyków w najszerszym i najwyższym tego słowa znaczeniu, albo współczesnych sobie jak Dumas młodszy, Augier, Gutzkow a z polskich Szujski, Narzymski, Bliziński, Balucki — nie mógłby żadną miarą w swoim sposobie gry i wystawy znaleźć pierwiastków, niezbędnych do grania tej nowoczesnej literatury dramatycznej, stawiającej reżyserom nieznane dotąd wymagania.

Znalazł te pierwiastki w swojej bogatej umysłowości i swojemu teatrowi umiał je wszczepić T. Pawlikowski, modernista literacki w najlepszym tego słowa znaczeniu. Trudność największa tkwiła w tem, że nowa dramatyczna twórczość była tak różnolita, że się w niej krzyżowały kierunki tak pomiędzy sobą sprzeczne: jakimś jednym modernistycznym szablonem, jakimś generalnym wytrychem nie dało się otworzyć wszystko. Jak wytworne musiało być Pawlikowskiego poczucie estetyczne, które pozwoliło mu grać każdego z tych nowoczesnych pisarzy i dla każdego stworzyć nastrój, ton i styl sceniczny zgoła odmienny i zawsze niemal wybornie dobrany. Dopomagała mu w tem niezawodnie ogromna znajomość teatrów zagranicznych i całej ich tak różnorodnej techniki reżyserskiej. Ale ślepym naśladowcą zagranicznych wzorów nie był nigdy i nawet korzystając z doświadczeń cudzych, nadawał swej pracy teatralnej oryginalne własne piętno.

Nowator i miłośnik nowoczesnej poezji scenicznej — nigdy nie był ciasny ani jednostronny — posiadał pełne poczucie wszystkich piękności literackich, tkwiących w repertoarze klasycznym, tym właśnie, który tak przepysnie grywali wielcy poprzednicy, Skorupka i Koźmian. *Ślubny Panięskie, Zemsta, Zabłockiego Dziej-*

czyną Sędzią, Korzeniowskiego Wąsy i Peruka, Słowackiego Nowa Dejanira, Balladyna, Molierowska Szkoła Zon, Skąpiec, kilka komedyi Shakespeare'a, a za powtórnej dyrekcyi Hamlet, pozostaną pod względem reżyseryi, wystawy a zwłaszcza stylu, pamiętnymi tryumfami jego talentu, wiedzy i artyzmu.

A współczesna twórczość rodzima? Ta chyba zawsze wspominać go będzie z wdzięcznością największą i najbardziej zasłużoną: Wyspiański, Przybyszewski, Kasprowicz, Kisielewski, Żuławski, oglądali pierwociny swego talentu na jego scenie i jak świetnie grane! Obowiązek wdzięczności nakazuje tym razem nie przemilczeć także o sobie i wyznać, że się także jest jednym z tych, którym uitorował drogę i zapewnił powodzenie sceniczne.

O tem, co mają mu do zawdzięczenia aktorzy, niemniej rozpisywaćby się można długo. Tu wystarczy stwierdzić, że miał dar i umiejętność wyszukiwania talentów i rozwijania ich pod swoją ręką, zwłaszcza przez to, że indywidualności aktorskie uwzględniał i nadawał im bieg właściwy, nie narzucając im żadnego szablonu.

Umiejętność reżyserska polega bezsprzecznie na zestrojeniu wszystkich ról w sztuce w jednolitą i konsekwentną całość artystyczną; reżyser do swej teatralnej koncepcyi dzieła literackiego musi nagiąć wszystko i podporządkować. Wszystko, więc i aktorów, którzy przecie indywidualnie pojmują swe role i pragną się wyróżnić od tła i grą swoją naprzód rolę wysunąć. Stąd zasadnicza sprzeczność stanowiska reżyserskiego i aktorskiego. Rozwiązując ją harmonijnie, przeprowadzić zasadę jednolitości nie łamiąc prawa indywidualizmu, to sztuka, w której mistrzem był zmarły i to jego wobec aktorów największa zasługa.

Tadeusz Pawlikowski zgasł przedwcześnie w dobie wojennej, która mu nie pozwoliła na przeprowadzenie dalszego programu reformatorskiego; śmierć nie dała mu doczekać lepszych czasów. Ale posiew jego ręką rzucony, ręką — która teraz już niestety zastygła — wszedł, plony przynosił i przynosić ich nie przestanie. Więc na świeżym grobie Melpomena Polska ryje mu niezatartemi głoskami napis: „*Non omnis moriar*“.

Lucyan Rydel.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: TRZEJ GOSPODARZE.

LITWINOWICZ, DĄBROWA MŁODZIANOWSKI I DZIEDUSZYCKI.

Porucznik Litwinowicz, dowódca wszystkich wozów, herszt wszelkiego jądła, król całej gospodarki I. Brygady, był w życiu cywilnym człowiekiem poważnym, statecznym... finansistą, dyrektorem, może inżynierem, mecenasem, radcą, szefem... Był człowiekiem, który ma w notesie same cyfry, jeździ sypialnymi wagonami i na jakiejś kamienicy narożnej sterczy jako Litwinowicz et Comp.

Był człowiekiem, który ma czarny żakiet, pikową kamizelkę, gołąbkowe spodnie, rakowe rękawiczki, krawat indigo w białe groszki, przepięty koralową spinaką — i ma służącego, który mówi — pana dyrektora niema w domu.

Wyszedł z tych, co to przez otwarte okna kiwają białymi chustkami ku piechocie przeciągającej ulicą, gdy wszystko się uda, mówią mowę ozdobną w ratuszu (myśmy od pierwszej chwili czcigodni panowie!) — a w dwanaście lat później są prezesami komitetu budowy pomnika...

Porucznik Litwinowicz był wśród nas oddawna, a na pierwszy zawołanie znalazł się w szeregu. Jego duża

i chytrą głowę zasadzono odrazu do jakichś kalkulacji, a 6-go sierpnia 1914 roku, gdy młodzusienska bogini nowej polskiej wojny przebiegła starymi ulicami miasta, ujął w swe zręczne ręce sprawę wyżywienia oddziałów, idących do walki.

Na wyżywienie pierwszego oddziału, wkraczającego do Królestwa, otrzymał Litwinowicz od szefa sztabu K. Sosnkowskiego 100 koron.

Tak, jakby do Królestwa niebieskiego, nie zaś ziemskiego, szli, a sto koron dla furtyana było, dla kościelnego i organisty, na kosztą skromnej ceremonii u progów śmierci...

Tak więc na samym wstępie służby spotkało Litwinowicza wyrzeczenie się, ofiara. Gdy innym uśmiechać się zaczęła wdzięczna i junacka przygoda bitwy, musiał być Litwinowicz zająć się surową prozą wojny.

Musiał być żywić oddział młodego wojska, nie mając prawie na to środków. Musiał być sztukować, łątać, gonąć, zwozić, znosić, sprzęgać... Prowadzić misterne układy z komitetami obywatelskimi małych miasteczek, z strażą ogniową... Wlec się z kotłami przez ustalającą

się dopiero linię wojsk, promieniować jasnością i pogodą w wystraszonych miastach, zakładać biwak w pustej z przerażenia wsi.

Najtrudniejsza strona roboty, dla której spełnienia inni mieli tysiące wozów i całą organizację, wykonywana być musiała zapomocą ustawicznej improwizacji wszystkiego z niczego...

Litwinowiczowi przypadła w udziale bezpośrednia realizacja tej pysznej idei, jaką młodzież wojenna na karabinach swych niosła do Królestwa: grupowanie pożytku dokoła broni... Organizowanie kraju w myśl potrzeb wojska...

W owym czasie romantycznym, gdy broń była nie tylko czarnym źródłem śmierci, lecz także zasadą przyszości...

Dziś, gdy żołnierz usłyszy dalekie skrzywienie kół, gdy spostrzeże te wysłużone wozy, jak suną na tle drżących lun, gdy zabłąkany wśród wichru i śnieżycy natknie się na przemarsz ich mozolny — nie może nie pomyśleć o Litwinowiczu... Bo jest w całej poręczniku pracy miara tego wysiłku, z jakim się wóz przez piachy przejeżdża, i solidność prosta rzeczy związanych sznurkiem i rzemieniem... Bo Litwinowicz dowodzi oddawna, a zawsze zdąży... Przywiózł nam Gwiazdkę na front po Łowczówku, ze Święconem zdążył nad Nidę... Rocznicę naszego wyjścia w pole podwiózł swego czasu w Lubelskie.

Może nam kiedy na tych wozach nowinę jakąś przyniezie, wszystkimi wstęgami wszystkich radości przepasaną...

Inne gospodarstwo miał za sobą klasyczny oficer I. Brygady, adjutant I. pułku piechoty, porucznik Dąbrowa-Młodzianowski. Mianowicie — owe przesiewy piękna i stylu, którymi kilku artystów w Krakowie marzyło zmienić urządzenie polskiego domu. Ulepszyć je, wyszlachetnić...

Porucznik Dąbrowa-Młodzianowski był dyrektorem Zakładów Artystycznych w Krakowie. Stał na czele tego milego wątku, który odczynić miał wszystkie kwasy i wszelki zgryz cudzoziemczyzny w ozdobie polskiej...

A teraz ma wokoło siebie gospodarstwo oręża, śmierci i krwi...

Zachowuje wśród niego przedziwną harmonię spokoju, gestu i urody.

Zobaczcież Dąbrowę, jak na wysokim swym koniu jedzie samotny przez pole. Zobaczcie jak zatrzyma się u starego płotu, przez który zwisa zieleń siwych liści, co posłuchanie dają nigdy nieusłuchanym...

Przypomną się stare pieśni... To wszystko, co jest najlepsze w pamięci dawnych bojów, ogromny senty-

ment zdrowia, jaki się zawsze przechowa w echu potężnych walk...

Gospodarstwo pieniądza, gospodarstwo sztuki, a trzeci, gospodarstwo ziemi i tradycji niesie z sobą w szeregu podporucznik Dzieduszycki.

Graf, do zbyt ków, do złota stworzony — dziwił się kiedyś w polu żołnierz — a jak to śpi na błocie...

Było to w bitwie pod Krzywopłotami, gdzie Dzieduszycki z wielkim męstwem i narażeniem życia pełnił służbę ordynansową.

Graf poszedł smokowi w paszczę, by się bić o Polskę...

Wyrwał się ze Lwowa, z całej sieci narad, wziął z domu dwa konie, jak to dawnymi czasy bywało i ruszył w drogę, do Kielc, samemu smokowi w paszczę, do Pilsudskiego...

Jakże to kipieć musiało w sercu arystokraty, jak smucić się musiało wszystko w myślach i ważyć i łamać, że na wyłomie prastarym Aryanin czy inny Zborowski, czy z kości Kostki Napierskiego, czy Worcella, z masonów, z wileńskich Szubrawców, z szalonych chorążych, ktoś — sztandary wydzwiga, krwią je odmładzać pragnie, a ci, którzy przecież... A ci, którzy ongiś z dumą mówili — my...

Bić się o Polskę... To w dobrej myśli i wielkim jak pała ręką Dzieduszyckiego rozumieć należy dosłownie: Polska za nami — bolejąca... My przed nią — żywym murem...

Walka napęla „grafa“ wesołym śmiechem, ogromnym zamachem, gdy trzeba kłótnią, gdy trzeba awanturą.

Słychać go na kilometr gdy sprawia do drogi pluton kawalerii sztabowej. Słychać z daleka te pyszne, huczne przekleństwa — ryki moje rozlegały się potężnie — śmieje się Dzieduszycki, podnosząc do góry ogromne swe pięście.

A potem na czele swego plutonu podciąga ku sztabowi miarowym kłusem, ku bitwie, tak, jak to było pod Konarami...

Słońce struchlało za czarną chmurą, grad się pomieścił z resztą białych kosmyków światła, a pioruny zespoliły swój głos z rykiem armat.

Wilgoć wiosenna dyszała z ziemi, a myśmy jechali prosto ku temu pierścieniowi ognia, który krwawą koroną wieńczył horyzont, Dzieduszycki z odkrytą głową, w siwym, szorstkim płaszczu z gałęzią kwitnącej jabłoni w ręku...

Zaś w tej rozterce gromów i strzałów, chłodu i ognia, walki i wiosny, kwiaty te błyszczeć się zdały jak wielkie perły...





ARTUR GROTTGER.

POLONIA IX. — ŻAŁOBA.

BOŻE — POLICZ TE MOGIŁY,
TE PŁACZĄCE MATKI, ŻONY...

Z OPOWIADAŃ LEGIONISTÓW.

Z PIERWSZYCH DNI.

I.

Z dnia 12-go sierpnia 1914 roku.

Służył od rana w kawalerii. Kawaleria to była, każdy przyzna, z racji chociażby koni. Klacz dostał szpaczkę, ładną, zgrabną, delikatną. — Cieszyła się razem z jeźdźcem dniem letnim, ciepłym, sierpniowym, jazdą, końmi obok idącymi i szła lekkim truchcikiem, parszkając wesoło. — Jechali gościńcem szerokim, białym. Słońce nie przygrzewało jeszcze zbyt, ranek był. — Młodzi, a do tego kawalerzyści, nie lubią długo jechać cicho, — tak się dobrze śpiewa na koniu. Popłynęły też jedna po drugiej piosenki. I stara, dawna strzelecka: „Hej, strzelcy wraz“, — i nowsza, bojowców „o spluwie-brauningu“.

Chwalili się w niej bojowcy, że

— W innych partykach bryndza,
ogórkowe czasy,
u nas złoto płynie,
konfiskuję kasy,
Oj da, dana, dana, spluwo ukochana,
nie masz to jak bronek, nie. —

A chór przyświadczał, powtarzając ostatni dwuwiersz:

I jeszcze, niedawno przez jednego z jadących ułożona na starą, francuską nutę, pieśń strzelców paryskiego oddziału:

— Chodź bracie między strzelce*)
gdy chcesz wesołym być, —
— Kompania godna wielce
Umierać z nią i żyć. —

A w strzeleckim gronie, służba to nie żart,
o nie. —
A w strzeleckim gronie, służba to nie żart. —

— Dandysem był w Krakowie
serca podbijał w mig,
— poleżał w mokrym rowie
i cały szyk gdzieś znikł. —

Bo w strzeleckim gronie... i t. d.

— Człęk mądrym był jak rabin,
na szczyt się wiedzy piął,
— do ręki wziął karabin,
a mądrość dyabeł wziął.

Bo w strzeleckim gronie... i t. d.

*) Wiersz porucznika Bolesława Wieniawy z I-go dywizyonu ułanów.



Ułani.

i służy zwrotki za zwrotkami, piosenka za piosenką, co chwila, bo ktoś coś nowego przypominał.

Mijali tymczasem pola złocące się w coraz bardziej przygrzewającym słońcu, przejechali las i wsi kilka minęli, napoili konie w potoczku, aż ruszył komendant szybciej i klusem wyciągniętym dojechali do miasta ja-kiś większego.

— Kielce, Kielce—szept pobiegł od jeźdźca do jeźdźca, a już i kopyta po bruku tętniały.

Miasto jakby przycichło w oczekiwaniu. Ulice były głucho, okna pozamykane, gdziegdzie tylko przesuwiał się jakiś ciekawski. — Oddział naszych w galopie zajechał przed gubernatorski pałac. Powitały ich tam wyprężone postacie woźnych, w białych, rosyjskich mundurach, salutujące służbiście. Skoczył Belina z konia i wszedł po schodach terasowych do wnętrza. — Zsiadli też z koni i weszli do gmachu obywatele Litwinowicz i Boerner. Po chwili zajechał przed pałac powóz wiozący przedstawiciela rady miejskiej. — Belina tymczasem wyszedł, wsiadł znowu na konia i ruszył przez miasto. Objechawszy je i gdziegdzie rozstawiwszy strażę, wrócił znów na plac katedralny. Już zaś po mieście poszła wieść: — Nasi, nasi — i przejeżdżających tłum witał rozgorączkowany, uradowany. A oni jechali z fantazją, pełni animuszu. Wcale się dobrze oddziałek prezentował. Nie z liczby, bo nie było ich nad dziesięciu. Konie mieli tylko wcale dobre, mundury jednakowe, siwe strzeleckie. Gorzej było z siodłami, które wielką mieszaninę przedstawiały i z bronią. Ledwie kilku miało manlichery, reszta musiała się zadawałać jednostrzałowemi werndlami i berdankami. Szable też prawie wszystkie były czarne, rosyjskie. Za to co drugi miał bronka, a z nawiązką kryła wszelkie niedostatki brawura i fantazja kawalerska, bijąca z oczu płomienistych, z lic skupionych, twardych, w których wyraźnie czytał: Oto wreszcie, wreszcie dorwałem konia, szablę mam w garści, jadę na Moskale i dobrze jest, — lepiej będzie.

Aż załopotały, zastukały strzały bliskie, w północnej stronie miasta. Porwał się oddział, szcęknęły podkowy na bruku, — w myśl starych zasad ruszył Belina na strzały.

Długa ulica od rynku na dworzec, potem w prawo, mały zakręt i już domki przedmiejskie, ogrodami otoczone, już pola widać zasiane, i strzały gruchoczą tuż tuż. — Z koni — padła komenda: Zsiadają, a mieszkańcy domów pobliskich spieszą, by choć potrzymaniem wierzchowców pomódz swoim. Z za parkanu drewnianego wysuwa Belina tyralierów. — Jeden po drugim wybiegają na pole i po chwili sunie linia pod górę. Już dochodzą do grzbietu, widać chaty i domy o jakie osiemset kroków. Pod nimi nieprzyjacielska linia bokiem ku naszym zwrócona, za przeciwnika głównego mając kawaleryjski patrol austriacki.

Wziął Belina manlichera od Hanki, mierzy chwilę, strzelił. Po nim inni. Zamieszanie wśród nieprzyjaciół, świsnęło kilka kul, posłanych naszym, ale na dwa fronty walczyć nieprzyjemnie, nikną więc Moskale wśród zabudowań.

— Do koni. — Gwarno się staje, sypią się uwagi o dopiero co odbytej potyczce.

lerya nasza dalej. Po chwili znowu z koni i Janusz prowadzi patrol pieszy, w rów przydrożny się kryjąc, ku niedawnym pozycjom Rosyan. Nie wiadomo czy naprawdę uciekli. Nie ma ich już jednak rzeczywiście. Ha, trudno — jada więc już nasi spokojnie przez wieś, potem znowu polem, okrążając Kielce, widne zdala.

W następnej wsi: — Byli panie, Kozunie, siedmiu ich było, co ino odjechali, — mówią chłopci.

— Którędy?

— Przez pola na folwark, tam widać.

Ostrożnie, kryjąc konie, poza opłotkami się przesuwali, na wskazane miejsce. Widać. O jakie półtora kilometra, mniej więcej, folwark zabudowany porządnie. Brama otwarta szeroko, w niej stoi jeździec — Kozak. Chwilę dumal młody komendant. W milczeniu czekała gromadka.

— Et, na koń chłopcy. En carriere! — i błysnąwszy szablą, ruszył. Szczęk szabel; runęli przez opłotki, przez rów, na pole i hajda, aż konie brzuchami ziemi tykają. Dopadli, nie dotrzymali jednak Kozacy. Tędy uciekli — przez pole — objaśniają chłopci. Jazda więc za nimi. Teren do pościgu trudny, falisty, pagórki, doliny, zboże wysokie. Za to ludzie w polu pracujący pomagają. Ot, biegnie chłopak, wóz swój z końmi zostawiwszy przy stercie.

— Panie, tędy uciekli, tędy — i pokazuje palcem. Po chwili ktoś drugi kierunek pogoni wskazuje. Aż wyjechali na wyniosłość znaczniejszą.

Kozacki oddziałek opodal dopada już lasku. Z koni więc i ognia. Nie wielka z tego jednak pociecha, jak zwykle z zaprędkiego strzelania. Kozacy bezpieczni już w lesie.

— Dosyć mamy na dzisiaj. Belina konia zwrócił w stronę gościńca. Zabrzmiały po chwili pieśni, konie szły stępa, poparskując, czuły zlizający się spoczynek. Po raz drugi dzisiaj jechali ku Kielcom.



Wiosna 1915.

Nie na spoczynek jednak szli. Czekala ich praca krwawa dnia tego jeszcze i noc bezsenna, a potem dni takich i nocy jeszcze wiele. Szli jednak ku nim z otuchą i fantazyą wielką, z postanowieniem twardem, że bądź co bądź, swoje robić będą.

II.

NA KIELECKIM GOŚCINCU.

Już rok temu przeszło. Wiele to nowych, niezwykłych rzeczy widział przez ten czas ten gościniec, co z Jędrzejowa do Kielc prowadzi. Przyzwyczaił się już zapewne nawet do nadzwyczajności. To zaś, co za chwilę przeczytacie, było najpierwszą na tem gościńcu niezwykłością, — było do tego roku niezwykłego wstępem.

Maszerowały sobie tym szlakiem białym, szare, nie zanadto długie kolumny żołnierzy, podobnie, jak maszerowały już nieraz w okolicach Krakowa, Lwowa, czy Nowego Sącza. Te same pieśni rozbrzmiewały, te same komendy. „Hej mój rozmarynie“, „Pod Krakowem czarna rola“, „Którędy Jasiu“ — umiły i ten marsz bojowy już, tak jak przedtem towarzyszyły pokojowym jeszcze ćwiczeniom. Nie były zaś zwykłym widokiem oddziały te, ni pieśni, skoro na ich odgłos wybiegali ludzie z domów przydrożnych, skoro ze zdumieniem oglądali mundury maszerujących, czapki ich z orzełkami i ich samych.

Hej, kielecki gościniec!

Widział on tą pierwszą ofensywę na Kielce,

i widział tych, którzy za tamtymi w trop szli. I podziwiał zapal, młodzieńczy iście ferwor, jakąś, jakby już starych bojowników przezorność tych młodych żołnierzy i nie wiele wiekiem starszych, a często wcale nie star-



Odpozynek.

szych dowódców. Szły kolumny, patrolami i strażami obstawiane na bój gotowe, szły z junacką bezczelnością, nie rachujące ni nieprzyjacielskich sił, ni swoich. — Nie było ich zaś nad półtrzecia tysiąca. —

Przejechał już junacki, wichrowaty oddział Beliny, przeszły twarde, zwarte kolumny piechoty, przeszły płochliwe i na odgłosy bitewne czule treny i zaczął się na gościńcu żywy ruch w tył i naprzód dążących samochodów, konnych, wozów, — zaczął się ten ruch, którego treścią łączność t. zw. tyłów z linią.

Przyszykowały panie jędrzejowskie kawę, chleb, wędlin nieco. Jedzie właśnie kawalerzysta, który nocował (konia kuć do miasta przyjechał) weźmie więc transport na linię. I jadą cztery wozy wyladowane. Chłopi flegmatycznie kiwają się na kozielekach, a eskortuje tabor strzelec konny i mały Staszek z historyczną dubeltówką. Dawni to znajomi z II-giej kadrowej i z Oleandrów jeszcze; więc pogawędka odchodzi. I opowiada, później nieco na front przybyły Staszek, jak to go w Miechowie nie chciał ob. Zosik do kompanii przyjąć, jak on się rozplakał, aż się za nim sam ob. Mieczysław do Zosika wstawił, jak potem został w Jędrzejowie, co się stało z „obywatelem capem“, który tak wytrwale asystował krakowskim ćwiczeniom. I prosił też mały Staszek, by go „obywatelem konny“ na konia puścił, bo i on jeździć umie. — Niema czasu jednak kawalerzysta na zabawy, bo ważna to rzecz eskorta. Ot, w tym lesie napewno są Kozacy. Dobrzeby się oblowili. A podjeżdżają oni aż pod Jędrzejów. Ugania się też za nimi Belina i trapi ich nieustannie.

W tymże lesie, niedawno, wczoraj czy przedwczoraj, historia się wydarzyła paradna. Odpoczywali Beliniacy w cieniu przy gościńcu, gdy automobil komendanta nadjeżdżał. Poznawszy go z daleka Belina, oddział na koń wsadził i z gaszczu wysunął, w samą porę, gdy automobil miejsce spoczynku mijał. I przywitał go komendant: — „A bodajże was, cóż wy, Kozaków udajecie? — Już kazalem szoferowi rozped brać, was wśród drzew ujrzawszy“. I chowali obaj z szoferem brauningi dobyte, potwierdzające obaw prawdziwość.

Bez wypadku jednak prowiant dojechał i z radością go przyjął Wyrwa, na danym odcinku komendę mający.

Szły jednak i inne transporty. Ot, przy cofaniu się z Kielc, nie zapomniano o szpiegach i jawnych rosyjskich przyjacielach. I posuwa się gościńcem z Kielc ku Chęcinom grupa ludzi. Prowadzi konny obywatel, niedawny Maurizia i Esplanady gość stały, balów krakow-



W pochodzie.

skich uczestnik gorliwy. Jedzie teraz w skwarze słonecznym i w prochu, z szabłą gołą w ręce. Baczy pilnie na ruch jeńców każdy. Bo rozkaz ma surowy, przy ukazaniu się Kozaków, przy próbie ucieczki, nikogo nie żywić. I reszta eskorty, dwaj konni i dwaj piesi, bagnety mają nasadzone i szable dobyte.

Szable te zaś, to rosyjskie „szaszki“ — świeżo zdobyte, teraz rosyjskich szpiegów karkom grożą. A idzie ich ośmiu, parami. Jest wśród nich i chłopak młody, z zuchwałą i bezczelną twarzą, jest też starzec zapłakany i chlipiący, najgorszy pono. Doszedł orszak do Chęcina, jeńców komendant „garnizonu“, ob. Huk odebrał, a jeźdźcy i piesi z powrotem ku linii zawrócili.

Cofające się z Kielc oddziały strzeleckie spotkały koło Chęcina kompanię rowerzystów tyrolskich, chłopaków dzielnych. Są i karabiny maszynowe. Witamy ich radośnie. I w późniejszych czasach sympatycznie ich wspominamy, aż w pół roku później znów stanęliśmy w linii obok siebie.

Cisną się pod pióro rozliczne wspomnienia i dzieje, których świadkiem gościniec kielecki, postoję te i biewaki, i pierwsze patrole w lesie tym, przy gościńcu, — i jazdy ustawiczne dniem i nocą, aż póki nie opuściliśmy gościńca, ku Bolimowi idąc.

A wszystko owiane gorącym tchnieniem lata, ozłoczone palącym, sierpniowym słońcem.

Roman Horoszkiewicz.



Rys. Z. Lubańska.

LUCYAN RYDEL: WILNO.

IV.

Długo możnaby się rozpisywać o samych tylko wileńskich kościołach, bo jest ich wiele, a każdy niemal godzin widzenia, zarówno ze względów historycznych jak artystycznych.

W pobliżu Bernardynów i Św. Anny warto wstąpić do kościoła Św. Michała, fundacyi Lwa Sapiehy z okazałym marmurowym pomnikiem fundatora i dwu jego żon, Firlejówny i Radziwiłłówny i z licznymi grobami Sapieżyskimi w podziemi. Niemniej warto w śródmieściu zejść do kościoła Dominikanów, stawianego pierwotnie przez Aleksandra Jagiellończyka; wskutek wojen i pożarów kościół ten uległ zniszczeniu i trzekrotnej przebudowie w XVII i XVIII w., ale zachował się w nim jedyny bodaj portret Aleksandra, jeśli nie zupełnie współczesny — jak twierdzi miejscowa tradycja — to bądź co bądź nie o wiele późniejszy. Warto zatrzymać się przed ślicznym rokokowym frontonem Św. Katarzyny, a wewnątrz obejrzyć niepośledniej wartości obrazy Czechowicza, który tutaj w pełni okazuje cały swój talent.

Ale już doprawdy nie godzi się wyjeżdżać z Wilna, póki się nie poświęciło choćby godziny kościołowi Św. Piotra na Antokolu. Wzniesiony przez hetmana Michała Paca w drugiej połowie XVII w., wzorował się ten kościół niezawodnie na rzymskim Św. Pietrze i należy do najświetniejszych pomników kościelnej architektury barokowej, może nietylko u nas, ale wogóle na świecie. Zwłaszcza wewnątrz jego doskonale w proporcjach, na skrzyżowaniu naw nakryte wspaniałą kopułą, wywiera niemałe wrażenie. Na pierwszy rzut oka przypomina się krakowski kościół św. Anny, lecz podniesiony do potęgi zarówno rozmiarami jak wspaniałością. Podobieństwo jest i w tem, że tutaj również, jak w krakowskim kościele św. Anny, właściwe barokowi dążenie do przepychu, pokryło całą świątynię nad wyraz bogatymi, bujnymi stiukami. Jeśli krakowski stiukator Baltazar Fontana słusznie uchodzi za jednego z najprzedniejszych mistrzów tej sztuki, to ci, współcześni z nim, i także włoscy artyści, którzy zdobili wewnątrz św. Piotra w Wilnie, przewyższają go jeszcze o wiele. Nazwiska ich dotychczas nie znane, wątpliwości jednak ulegać nie może, iż grono całe rzeźbiarzy pracowało tutaj, bo jeden człowiek żadną miarą nie byłby zdolny wykonać tego mnóstwa ornamentów roślinnych i figuralnych, choćby całe życie poświęcił na to jedno dzieło. Dość powiedzieć, że samych figuralnych stiuków jest u św. Piotra do dwu tysięcy! Toteż od posadzki niemal, ściany, filary, ołtarze, sklepienia, podniebie kopuły, wszystko roi się od stiukaterii wręcz niesłychanych. Bo nie są to bynajmniej roboty mierne, wykonane pobieżnie i niedbale, jak to bywa zbyt często w tego rodzaju pompatycznym, barokowym zdobnictwie. Stiuki u św. Piotra działają nietylko bogactwem i mnóstwem: każdy z nich z osobna wzięty jest sam dla siebie pierwszorzędnym dziełem wielkiej barokowej sztuki. Można baroku nie lubić, można mu wogóle — a tu zwłaszcza — zarzucać przeładowność, ale chciałbym wiedzieć jedno: gdzie na świecie znaleźć w tym stylu i tym charakterze kościół piękniejszy i rzeźby lepsze? Św. Piotr wileński, gdyby stał gdziekolwiek we Włoszech, a choćby nawet w Rzymie, byłby niezawodnie podziwiany i znany wszędzie.

Na wewnętrznej stronie filarów, dzielących szeroką nawę środkową od wąskich stosunkowo naw bocznych,

rozmiszczone są wypukło rzeźbione stiukowe grupy, przedstawiające świętych pojętych pseudoklasycznie, ale pełnych stylu i charakteru; górą fryz, biegnący pod sklepieniem beczkowem, obsiadły parami aniołki, czy — jeśli kto woli — amorety nagie, szczególnie urocze i coraz w innych postawach rozrzucone. Kopuła pokryta jest całą stiukami o motywach przeważnie roślinnych.

Podobnie jak w Krakowie u św. Anny, tak i tutaj, nawy boczne podzielone są ścianami poprzecznymi, tak, iż tworzą jakby szereg oddzielnych kaplic, połączonych między sobą dość nisko sklepieniami łukami. Na tych działowych ścianach, rozległych, a temsamem przedstawiających dogodną płaszczyznę do wielkiej dekoracji stiukowej, rozmieścili artyści całe grupy alegorycznych figur, które uosabiają rozmaite cnoty, a jako posągi, są najpełniejszym wyrazem twórczości rzeźbiarskiej w kościele św. Piotra. Stosunkowo najslabiej wypadły stiukowe ołtarze, zamykające nawę poprzeczną na jej obu końcach. Zbyt drobiazgowo w wykończeniu, rażą zwłaszcza temi rzeźbionymi chmurami, które mimowoli nasuwają myśl o bitej śmietanie.

Godne uwagi jest antepedium wielkiego ołtarza, dzieło z końca XVII albo z początków XVIII w. — wypukło trybowana w srebrze scena ewangeliczna, św. Piotr w łodzi i Chrystus chodzący po morzu.

Nie bez uśmiechu patrzyłem na obraz przedstawiający w całej postaci św. Katarzynę dei Pazzi, którą fundator widocznie otaczał czcią osobliwszą — sądząc po umieszczeniu na honorowem i w oczy wpadającym miejscu, z napisem, który głosi wspólność rodu i nazwiska florenckich Pazzich i litewskich Paców!

Już miałem wychodzić z kościoła, gdy moi towarzysze zwrócili mi uwagę na drewnianą figurę P. Jezusa Bolesnego, stojącą na bocznym ołtarzu.

— To wygnaniec — powiada mi jeden z nich — słynny cudami, na całą Litwę czczony P. Jezus Antokolski. Stał w kościele Trynitarzy, fundowanym przez Sapiechów na Antokolu. Moskale kościół zabrali na cerkiew, a figurę tę, poświęconą niegdyś przez Papieża Innocentego XII, przeniesiono tutaj na boczny ołtarz.

Z Antokolu, — gdzie już nie ma tych poetycznych dworców podmiejskich, o których tyle się czytało w dawnych wspomnieniach i opisach Wilna — z Antokolu wracamy do miasta.

Po drodze obszerny plac, na nim skwer, a na skwerze nisko postawiona, prawie bez cokółu, brązowa Katarzyna II. Pomnik ani wielki, ani wspaniały: caryca w szerokiej, bufiastej spodnicy, wysznurowana i wlokąca za sobą ciężki płaszcz cesarski, mizdrzy się w uśmiešku słodko zalotnym, ponętna jest, łaskawa, tak łaskawa, że jeszcze chwila, a puści się drobną nóżką po murawie i pobiegnie za jakim urodziwym „praporczykiem“. Skoro potrzeba było dla Wileńczyków postawić im samego Murawiewa, dla czegożby nie miała stanąć w litewskiej stolicy ona, Najjaśniejsza Imperatorowa?!

W tej chwili oboje, *ambo meliores*, wśród rosyjskiej ewakuacji Wilna, wyjechali gdzieś daleko na Wschód. Szczęśliwej drogi — i bez powrotu!

Na tym samym placu pokazują mi staroświecki, niepozorny dom jednopiętrowy, ze skromną tabliczką pamiątkową. Tu ostatnie lata życia spędził, tu schorowany i rozbity na duchu zmarł w r. 1862 Władysław Syromkła.

Z czcią spogląda się na to niepokazne domostwo i w myśli staje twarz poety zadumana, wyschła, z żalonym uśmiechem na ustach i cichym smutkiem w łagodnych oczach.

Jak o wileńskich kościołach, tak o wileńskich pałacach dałoby się mówić bez końca. Wszystkie one dziś albo zabrane na gmachy rządowe, jak pałac Sapieżyński, Służków, Chodkiewiczów, albo w ruderze, jak Radziwiłłowski, wzniesiony przez X. Janusza, tego hetmana-zdrajcę z *Potopu*. Jednego z tych odwiecznych gmachów zbyć nie można krótką wzmianką. Jest w najgorszym opuszczeniu i zaniedbaniu na Dominikańskiej ulicy, dom widocznie bardzo stary, ale zewnątrz niczem nie różniący się od wielu innych. W podwórzu niespodzianka: niewielki, prześliczny dziedzińczyk arkadowy w najczystszym stylu Odrodzenia włoskiego. Jest to niezawodnie jeden z najbardziej uroczych i najcenniejszych zabytków architektonicznych Wilna — dawne Seminarium unickie, wzniesione przez biskupa Protasewicza. Lecz w jakim oplakany stanie dzisiaj! Gnieździ się tutaj bieda wszelaka, a z nią brud i zaniedbanie. Pod arkadami, na kamiennych balustradach, sznie rozwieszona do słońca bielizna, w oknach potłuczone szyby zalepione papierem...

Na błędem jeszcze, wiosennem niebie, świeciło czyste, młode słońce wiosennego przedpołudnia. Mijaliśmy ostatnie domy podmiejskiej ogrodowej dzielnicy Wilna, które w dali rysowało się na tle okolicznych wzgórz, owiane przejrzystą, błękitną mgłą. Ponad miastem, rozbudowanym szeroko w dolinie Wilii i Wilejki, górowały sine sylwety wieżyc i kopuł.

Za chwilę wchodziłem w bramę słynnego cmentarza „na Rosie“, aby na wyjeździe pokłonić się prochom tych pokoleń, co tutaj, na litewskiej ziemi trwały i dotrwały na straży polskiego ducha i polskiej zachodniej cywilizacji przez to całe tak niewymownie ciężkie stulecie porozbiorowe.

Cmentarz jest rozległy i dziwnie piękny. Samo jego położenie niezwykle: rozkłada się on terasowato na stoku dość pochylego pagórka. Osobny urok nadają mu rozłożyste stare drzewa, rosnące gęsto i nieregularnie, jak w lesie. Między nimi wiją się swobodnie, wspinają w górę i schodzą w dół ścieżki, snujące się kręto wśród mogił. Tak przynajmniej wygląda najstarsza i najrozleglejsza, trochę dzika i właśnie dlatego najpiękniejsza część tego leśnego cmentarza.

Latem, kiedy przez konary odkryte gęstwą liści ledwie przedzierają się słoneczne promienie, w gałęziach rozśpiewają się ptaki a ziemia pomiędzy grobami okryje się kwieciami leśnym, precudny musi być ten cmentarz „na Rosie“.

Ale i teraz, o wczesnej wiosnie, piękny jest i pełen cichego, pogodnego smutku. Na drzewach — jak złote gałki — błyszczą do słońca nierozwinięte pąki, pod nogami zeszlroczone suche liście szemrzają, jakby szeptały pacierz za umarłych, a z pod tej martwej powłoki wybijają się na świat boży kępy zielonej, młodej trawy, usiane gdzieniegdzie białymi gwiazdkami nikłego wiosennego kwiecia.

Przystaliśmy.

— Tu leży Syrokomla — powiada jeden z moich towarzyszków, wskazując na mogiłę ze skromnym krzyżem kamiennym; nad mogiłą wielkie drzewo rozpociera gałęzie jak olbrzymi baldachim.

Tuż obok autora *Dęboroga* spoczywa druga chluba Litwy, Eustachy Tyszkiewicz, jeden z tych wielkich panów, którzy nie poprzestając na czczym splendorze historycznego nazwiska, do starej sławy przodków dodawali własne zasługi. Zapalony miłośnik Ojczyzny, jej piśmiennictwa i zabytków, życie pełne trudu i fortunę poświęcił na gromadzenie cennych zbiorów, z których utworzył wileńskie muzeum.

Groby profesorów uniwersytetu wileńskiego rozrzynają jak wszystko, co z tym uniwersytetem bezpośredni ma związek. Rektorowi Malewskiemu i Leonowi Borowskiemu pamięta się z wdzięcznością ich piękny nauczycielski stosunek do Mickiewicza: pierwszy za młodych lat nadszarpnął wprawdzie swoje dobre imię sekretarzując targowickiemu hetmanowi Kossakowskiemu, ale później swój błąd naprawił na stanowisku profesora i rektora uniwersytetu.

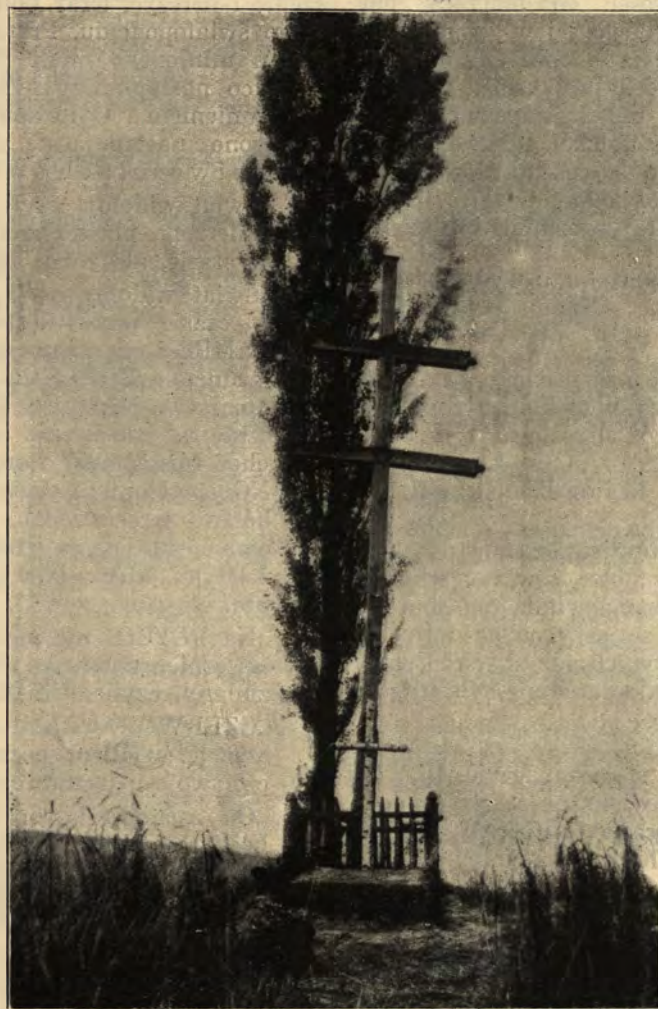
W połowie zbocza górskiego moi niestrudzeni przewodnicy pokazują mi kamienny grobowiec Euzebiusza Słowackiego. Pod napisem grobowym na marmurowej tablicy wyryte są zimne, twarde i gładkie jak marmur wiersze pseudoklasyka-profesora. Grób jest widocznie odnowiony świeżo, bardzo starannie utrzymany, przed nim nawet grządką kwiatów; dodatkowa tablica, wmurowana z boku głosi, że taką pieczę jest otoczony grób ojca przez pamięć dla wielkiego syna. I myśl od tego grobowca leci tam, daleko, na paryski cmentarz, gdzie przed laty w taki sam kwietniowy poranek stałem nad grobem wygnańca: w rocznicę śmierci, według stałego zwyczaju Polaków paryskich przynieśliśmy mu piękny wieniec, ale z kwiatów, które na obcej ziemi wyrosły — i złożyliśmy u stóp kamiennego anioła, co zaplakany prochów jego strzeże. Tej garstce kości należy się już raz powrót i godne byłoby Wawelu, ale kto wie, czy jemu samemu w chwili zgonu nie marzył się leśny cmentarz wileński „na Rosie“ i spoczynek wieczny obok ojca.

Niedaleko stamtąd grób Szpicnagłów i tego nieszczęsnego samobójcy, Ludwika, co „w ciemnej szkolnej sali“ przyjaźnił się od dziecka z małym Julkiem Słowackim.

Poeta *Anhellego* ma tu jeszcze innych swoich ukochanych: schodzimy z góry na sam dół i zatrzymuje nas grobowiec kamienny, gdzie leży ojczym Słowackiego, Becu, ów Doktor w *Dziadach* zabity od pioruna, przez młodych Filomatów, jeśli już nie wprost oczerniony, to bodaj mocno przyczerniony.

Matka poety spoczywa z tym drugim mężem pod skromnym kamieniem „na Rosie“. Z czcią staje się nad grobem tej szlachetnej kobiety i z uczuciem wielkiej wdzięczności za takiego syna. Wiosenny wiatr kołysze drzewami i siatką cieniów od bezlistnych gałęzi przesuwa tam i z powrotem po kamieniu grobowym. Jak promienie słoneczne tak blask poezji ozłaca grób Salomei Becu .

Dla Wilna idą lepsze czasy, a cokolwiek bądź przynoszą, zmienić tego nie zdoła nikt i nic, że tu Jadwiga z Jagiełłą chrzcila Litwę, umierał św. Kazimierz, przemieszkiwał Zygmunt August i Batory, kazał Skarga; cywilizacja, która swe niezapomniane ognisko miała w Uniwersytecie wileńskim, że tu, w tych umiłowanych polskiemu sercu murach, do młodzieńczego lotu rozwijali orle skrzydła najwięksi z największych budziciele narodowego ducha: Mickiewicz i Słowacki.



Z Ziemi Chełmskiej.

O NIESZCZĘŚLIWA, O UCIEMIĘŻONA
OJCZYZNO MOJA! — RAZ JESZCZE KU TOBIE
OTWORZĘ MOJE KRZYŻOWE RAMIONA,
WSZAKŻE SPOKOJNY, BO WIEM, ŻE MASZ
SŁOŃCE ZYWOTA [W SOBIE

J. Słowacki.

FRANCISZEK PIK: CEL.

(Dokończenie).

Rozpaczliwem spojrzeniem objęła swe otoczenie. Wokół, jak okiem sięgnąć, same przysadkowate, wtopione po szyję w rogowatą masę drobin, zezowały ku niej złośliwie.

— Tak, tak... niema wątpliwości... ona ma rację, one wszystkie mają rację! — krzyknęło jej w sercu.

— A może jest kto — myślała — może taksamo jak ja cierpi druga dusza... może ich jest dużo...

To byloby ocaleniem! Może są... Są napewne! Tylko daleko niezawodnie, ogromnie daleko, gdzieś poza tą gęstwą wrogów... Są może opodal... coś mi mówi, że są bardzo blisko! Ale to wszystko jedno. Czy są, blisko, czy daleko, są zawsze poza sferą porozumienia... czyli... niema ich wcale!

— I znowu niepodobna znaleźć wyjścia. Znowu staje się wobec klęski.

Czas mijał.

Wszyscy wokół mierzyli go poczuciem dobra i zadowolenia, ona jedna gorączką niepokoju i rozpacz.

Aż pewnego dnia stało się coś strasznego.

Powstał szum.

Drobinę odrazu pogłuchły, a tu i ówdzie odezwały się głosy:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Marzycielka nasza ożyła na nowo i w tym chaosie i przerażeniu ogólnem ona jedna powitała radosną nadzieją groźną katastrofę, siląc się przytem na dojrzenie owych drobin pokrewnych, skrytych gdzieś wśród ciżby obcych, chociaż tak bliskich. Ale daremnie. Nie ujrzała ich wcale.

A groza rosła.

Szum zrazu lekki wzmagął się ustawicznie. PLYTA poczęła się chwiać, jakgdyby wichr uniósł ją na niezmierny, wzburzony ocean. Moce jakies szarpały CZARNYM PAPIEREM, który kłębił się i wil, jakby walczył z potężnym wrogiem.

Konwulsyjne wstrząśnienia uczyli wszyscy. Powstała panika, a tem straszniejszą była, że wszystko tkwiło na swoim miejscu, omdlałe jeno, napoly martwe.

Nikt nie dziwił się, choć działy się rzeczy niesłychane, nikt się nie dziwił, choć padło w niwecz odwieczne prawo.

Wszyscy się bali.

Tylko nasza marzycielka pobladłymi ze strachu ustami szeptała:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Ale znowu jej nikt nie usłuchał.

Nagle, pośród największego szamotania, stała się rzecz niepojęta.

Oto nastąpiła cisza. Cisza absolutna, niema, zgodna z prawem odwiecznem, a wśród tej ciszy powoli, bezgłośnie rozwarły się niebiosy i oczom zdrętwiałych z przerażenia ukazało się Bóstwo:

CZERWONA LAMPA.

Świat opłynął nagle falą krwi. Zatonął w czerwieni. A czerwień ta słodka była i lagodna. Pieściła pochwycone w topiel drobinę. Całowała je jak matka... i zdawało się, że mówi: Nie bójcie się! Nie bójcie! Jam jest światłość miłosierdzia. Nie bójcie się!

Długo trwało nim się ustalił nowy porządek rzeczy. A jednak tak się wreszcie stało.

I dziwne. Teraz nikt się nie dziwił cudowi, od kiedy narzucił się jako prawo. Katastrofa nabrała wyglądu konieczności, cowiecej, to, co ongiś potępiano jako marzenie i herezję, teraz posłużyło do ugruntowania nowego światopoglądu. Przyznano, iż poeci i marzyciele wieku minionego mieli niejasne, prorocze przeczucie tego, co nastąpi. Czy było to proroctwem, czy tylko wspomnieniem... O to spierano się długo, aż wreszcie ogłoszono następującą: „Prawdę o istotnych właściwościach świata i jego początku“.

1. „Świat widomy, czyli PLYTA, jestto wielka, niezmierną płaszczyzna, która zaczęła swe istnienie w czasie, ale końca mieć nie będzie.
2. „Świat widomy czyli PLYTA, stworzonym został w czasie przez Bóstwo najwyższe CZERWONĄ LAMPĘ i oddanym został w opiekę Bóstwu drugorzędnemu, WIELKIEJ CIEMNOŚCI. Bóstwo to jest emanacją pierwszego i pozornie tylko z niem sprzeczne, w istocie zaś substancyjalnie identyczne, choć różniące się funkcyjalnie. WIELKA CIEMNOŚĆ wyłoniła z siebie, materyalniejsze już o wiele, bóstwo trzeciorzędne, CZARNY PAPIER, którego emanacją, jeszcze bardziej grubą i materyalną jest żelatyna, która dała życie drobinom bromku srebra.
3. „Na PLYCIE nic się nie zmienia, wszystko trwa wiecznie, natomiast bóstwa objawiają się przez zmiany, czyli LUNACYE.
4. „CZERWONA LAMPA nawiedza stworzenie, darząc je światłem, pozwalając im spojrzeć w oblicze swoje i darząc rozlicznymi dary.
5. „Od zachowania się drobin zależą zjawiania się bóstwa przedwiecznego i dzieje samejże PLYTY. Tak to same stworzenia są twórcami swego losu i w tych granicach cieszą się posiadaniem wolnej woli.
6. „Idealem doskonałości jest stan, w którym wszystkie drobinę zasługiwałyby na ciągłe oglądanie twarzy CZERWONEJ LAMPY. Stan taki nastąpi i wówczas bóstwa drugorzędne znikną, jako już niepotrzebne. Spalą się w płomieniu CZERWONEJ LAMPY i z nią na wieki zjednoczą.
7. „Dojście do tego stanu jest celem świata. Tedy celem tego życia jest dojście do życia wyższego, wydobycie się z kręgu ciemności, dziś panującej, w krąg światła, który jest zarazem stanem definitywnym, ostatecznym i niezmiennym.
8. „Drogą do tego celu jest wiara, posłuszeństwo i modlitwa.
9. „Nad wykonaniem praktycznym i nienaruszalnością tej prawdy czuwa kolegium kapłańskie.

Podpisano: MARZYCIELKA, przewodnicząca kolegium“.

Niedługo po ogłoszeniu „Prawdy o istotnych celach i początku świata“ znikło bóstwo i WIELKA CIEMNOŚĆ znowu rozłoczyła swe panowanie.

Ale prawdy raz powstałe nie znikły wraz ze światłem.

Pozostały jako jego abstrakcyjny odbłask, jako dobra nowina.

Tryumf Marzycielki był niezmierny, cześć i szacunek, jakimi ją otoczono, niewypowiedziany.

Dzięki to jej bowiem, dzięki jej tęsknocie, dzięki jej wierze, PŁYTA otrzymała rozumowane prawo moralne, skończył się okres mętnego i płytkiego materyalizmu, świat cały przejrzał i poznał swój cel ostateczny.

Otrzymała tytuł: „Dobroczyńcy świata“.

Zaiste, nie było to zawiele.

Wszystkie drobiny marzyły teraz o tem, by się dostać w jej pobliże. Ale to było niemożliwem.

Sąsiadka, usilnie się starała paść jej do nóg, ale i to okazało się niewykonalnem.

Poprzestała tedy na tem, że marzyła bez przerwy, by się jej przypodobać.

Niestety, jej marzenie, jako iż nie była zbyt lotną, wrychle przybrało postać narzekania.

— O jakże to dawno — jęczała — jakże dawno zniknęło światło! Czyliż już nigdy WIELKA CIEMNOŚĆ nie rozwinie swych opon?

— Nie szemraj! — nakazywała jej Marzycielka.

I wskazywała na wieki długie, wieki legendarnej wiary w bóstwo, jakie przetrwał świat od chwili pierwszej zjawy.

— Nie szemraj! — nauczała ją. — Trwaj w tęsknocie!

— Ach! Znowu zeszyła ta żelatyna na kamień, tak, że ani wytrwać dłużej!

— Strzeż się! — upominała już surowiej. — Opóźniasz światłość sobie i innym! Módl się!

— Ach! Modlę się i modlę, ale CZERWONA LAMPA widać nie słucha moich modłów!

— Modlitwa twoja pełna jest niecierpliwości! Takich błagań nie słucha bóstwo jedyne, nieogarnione, wyłączne, prócz którego nic niema na świecie, a którego formą jest wszystko, co istnieje...

— Nie mogła domówić swych słów do końca.

Stało się coś przerażającego.

Oto nagle, niespodzianie, bez szumu i wstrząśnienia, rozdarła się czarna opona WIELKIEJ CIEMNOŚCI i na świat spadł... piorun!

Jakiś grom bezgłośny.

Jakaś śmierć nagła.

Nagła, a niewypowiedzianie piękna.

Rozpękł się byt, zawałiło się życie.

A przez zgłiszczą wionęła wizya bezkształtna, niewyobrażalna.

Wizya życia innego, życia, którem żyć nie sposób.

Życia-śmierci.

Spadła na świat NICOSĆ, będąca wszystkim!

Stało się Niezapamiętalne! Niemożliwe!

Przyszło skądś, gdzie przed sekundą żył Bóg.

Jego tam już nie było!

Padł trupem i został pochłonięty.

Cicho i na zawsze.

Było znów czarno, tak czarno, że nie widać było WIELKIEJ CIEMNOŚCI.

Zdawało się, że to jej zwęglone zwłoki wiszą w szmatkach ponad światem.

A wokół cisza... cisza... martwota niezmierna.

Cisza, co trwać nie przestanie, bo jest sam trupem, cisza próżna, nie zawierająca nawet wspomnień, bo TO wszystkie przeraziło.

TO!

Tak się wydawało wszystkim drobinom na płycie.

Wszystkim?

Gdy przeminęło pierwsze osłupienie i poczęto się rozglądać wkoło, nastąpiło nowe zdziwienie i nowe, lepiej już uświadomione przerażenie.

Marzycielka, przewodnicząca kollegium kapłańskiego, zagadnęła sąsiadkę i nie otrzymała odpowiedzi. Zdziwiona, że gadatliwa ta osoba nagle zaniemiała, obejrzała ją dokładnie i... omal nie zemdląła sama ze strachu.

Sąsiadka zmarła.

Tkwiała dalej na swoim miejscu i z pozoru nie zmieniła się wcale. Ale ustąpiło w niej nagle coś, czego określić nie sposób, czego wypowiedzieć nie można. Jednym słowem, zmarła.

Od początku świata, stało się poraz pierwszy.

Właśnie jej się to przydarzyło.

Czyż tylko jej?

Wokoło stało się losamo.

W jednym miejscu zmartwiała cała grupa drobin, w innym wszystkie zostały się żywe.

Tam TO uśmierciło kilka tylko, gdzieindziej wielka przestrzeń usiana była zmarłymi.

Stał się nowy, niepojęty cud.

Śmierć.

I to śmierć dziwna, fantastyczna, bezprawa, i bezcelowo okrutna.

Ustalone, wyrozumowane, zgodne z rzeczywistością prawa życia i wynikające z nich prawa moralne w puch rozbił jakiś piorun, jakieś ZŁO, działające bez sensu, bez celu, dzikie i nieobliczalne.

ZŁO ostateczne, wszechpotężne, a bezrozumne.

ZŁO, którego żywołem chaos, a skutkiem rozpacz niema, bezbronna, i sama w sobie nierozumna.

Nie warto już było żyć, ani myśleć, nie warto już budować żadnych wartości logicznych, ani etycznych, nie warto się modlić, ani kłąć, cieszyć się, ni smucić.

Czyż poginęli sami źli?

Czyż poginęli sami dobrzy?

Czyż to była kara?

Czyż to była nagroda?

Czy było w tem coś możliwego do poznania?

Ale było w tem jednocześnie wszystko, bo kładło, bo kłaść mogło kres wszystkiemu.

Ale czy wedle woli... czy wedle przypadku...

Pewnem stało się tylko jedno: CZERWONA LAMPA ZMARŁA.

CZERWONA LAMPA, Bóstwo twórcze, rozumne, logiczne, miłosierdzie, źródło prawa, emanujące bóstwa inne, wykonawców prawa, zawiadowców szczęścia i zbawienia...

Zmarła... i wszystko przepadło.

Zostało ZŁO...

Szaleństwo siadło na tronie Boga.

Nastął czas dziwny.

Zaczęły się szybkie zmiany, których już nawet notować w świadomości nie mogły skazane na zagładę drobiny bromku srebra.

Przestały się dziwić.

Wszystko, z trudem przez wieki ustalone, wypłakane łzami tęsknoty, wyżebrane modłami długiej nocy oczekiwania, wszystko podarło się w szmaty. Związki przy czynowe pękały. Coś, co dotąd było przyczyną, nagle stał się skutkiem.

Co zmarło, żyło, natomiast żywe przestało istnieć.

Miłosierne, mężne, stało się niemocnym i jakby głupkowatym...

Nie dziwnego. Wszak rządziło szaleństwo.

WIELKA CIEMNOŚĆ gdzieś się zapodziała.

CZERWONA LAMPA wstała z martwych i zjawiała się poto, by z uśmiechem dobrotliwego idioty przyświecać męczarniom.

ZŁO poraziło w niej bóstwo, pozostał uśmiech boski, pozostał łagodny, słodki blask...

Jakby w masce swej własnej, dawnej twarzy, przeszedłszy krainę śmierci, wyszła znów wysoko na przestrzeń, zawisała wysoko, jakby na czyjś rozkaz, służalczo i spoglądała na rzeczy straszne nie mrugnawszy okiem.

A działy się rzeczy przeraźliwe.

Jakaś nowa moc zanurzyła świat, wraz z wszystkimi żywymi i umarłymi w otchłań oceanu, w toń niezgłębioną, a przejrzystą.

Odwieczne środowisko, w którym żyły drobiny, wzduło się niezmiernie.

Teraz, wszyscy przerażeni przez szaleństwo, poczęli czernieć, stawać się podobnymi do WIELKIEJ CIEMNOŚCI, jakby w zimnym tem morzu bez płomieni spalali się na węgiel.

Otoczyło ich płynne piekło.

A żywi, półżywi ze strachu, poprzez toń przezroczytą, patrzyli w twarz nieboszczyka-boga swego, w jego oko czerwone, uśmiechnięte i obojętne. Spoglądali bez modlitwy i bez rozpacz.

Bo i rozpacz umarła.

Potem zaczął się koniec.

Świat ginął w konwulsjach dziwacznych i dla samej nawet zagłady bezcelowych.

Siła jakaś wyniosła PLYTĘ wysoko, przewróciła ją ku CZERWONEJ LAMPIE, zatrzymała na chwilę w tem położeniu, wreszcie zatopiła w inne morze, niewypowiedzianie zimne i mętne.

Żali chciało SZALEŃSTWO pokazać Bóstwu poraż ostatni ruiny?

I poco? Bóstwo przecież przestało rozumieć.

Marzycielka zamknęła oczy.

Potem czuła, pogrążona w białych odmętach, że odrywa się z PLYTY.

Wokół niej fale odrywały kawały rodzimego podłoża wraz z żywymi.

Martwi trzymali się mocno swego grobowca, jakby się z nim zrosli.

Potem, wraz z innymi spłynęła... uczuła, że miota nią coś z niezmierną siłą, uderzyła o skałę śliską i twardą niezmiernie i wreszcie... zatoneła.

Zapadła w biel, nieprześwietloną nawet czerwonym światłem i doznała dziwnego wrażenia.

Było to jakby rozstępowanie się ciała, rozkład, któremu przyświecała świadomość. Ale nikła i ona szybko, ginęła... wreszcie skończyło się wszystko.

Na świecie, zeżartym przez orkan SZALEŃSTWA, pozostały same tylko zczerniałe trupy. Chociaż szarpane zębem ZŁA, z uporem nieświadomym trzymały się powierzchni, szklistej teraz i niepodobnej do siebie. Leżały w bezładnych kupach, bez celu rozrzucone, jak je poraził piorun, to blisko siebie, to porozdzielane wielkimi przestrzeniami, to w cieńszych, to w grubszych warstwach... słowem, w nieładzie bezrozumnym, nikomu na nic nie przydatne, niezdolne już nawet odczuwać przeraźliwej jasności, na jaką je wyniesiono, nie zdolne widzieć, że CZERWONA LAMPA błysnęła niedługo po śmierci Marzycielki poraż ostatni i zgasła na wieki.

Czyż Bóstwo oprzytomniało wobec grozy zagłady istoty wybranej, i skonało z żalu za tą, której tęsknota długa, bolesna i wytrwała sprawiła tyle dobrego?

Zginęła Marzycielka, zginął jej świat i cel jego. I nie wiedziała, że na zeżartym Szaleństwem świecie stała się rzecz nowa. Powstał obraz istoty wyższej, a cel PLYTY spełnił się dla niej.

Powstał portret CZŁOWIEKA.

Istoty, której świat drobin bromku srebra nigdy nie widział i nie mógł widzieć.

Portret CZŁOWIEKA...

A jakież długie szeregi aniołów postępują drogą, wiodącą z nizin pojęć człowieczych, do tronu BOGA.

